

Rozdział III

Mnich

Stary pan Kędzierski, który leczył matkę Doroty od przeszło czterech wiosen, był człowiekiem o dobrym sercu. Gdyby nie on, kobiety najpewniej zabrakłoby już na świecie. Wiedząc, że żyje z córką w ubóstwie od śmierci ojca dziewczyny, medyk nie brał opłaty za leczenie. W ramach wdzięczności Dorota dawała mu mleko, ser, jajka lub chleb, który matka nauczyła ją piec, zanim się rozchorowała. Lekarz żył się z obydwoma kobietami. Nie zwracał też uwagi na to, co mówiła szlachta o brataniu się z chłopstwem. Miał swój wiek, od lat praktykował medycynę i uważał za swój obowiązek pomagać każdemu, kto tego potrzebował.

To właśnie do starego szlachcica Dorota postanowiła się udać, by zrealizować swoje postanowienie. Uznała, że to jedyna znana jej osoba mogąca pomóc w wymierzeniu sprawiedliwości. Medyk przyjeżdżał do nich w każdą sobotę i podczas najbliższej wizyty poprosiła go o spotkanie w jego domu na osobności, gdyż sprawa jest delikatnej materii, o czym lepiej, aby chora matula nie wiedziała. Pan Kędzierski zastanowił się, cóż za sprawę mogła mieć dziewczyna, lecz kazał jej przybyć w poniedziałek.

Idąc teraz w stronę domu lekarza na przedmieściach, układała sobie w głowie, jak opowiedzieć o tym, co zaszło na plebanii. Zdawała sobie sprawę, że będzie musiała zwierzyć się ze wszystkiego i zapewne poddać się badaniu. Poczuli się okropnie na myśl o tym, ale to jedyny sposób. Pan Kędzierski był osobą powszechnie znaną. Jako kasztelan częstochowski miał wiele znajomości, często bywał na królewskim dworze w Warszawie, Krakowie, Wiedniu czy nawet Neapolu, gdzie studiował medycynę na tamtejszym uniwersytecie. Był człowiekiem odczytanym, wykształconym, lecz przy tym osobą cieszącą się dużym szacunkiem.

Dorota dobrze wiedziała, że jeśli chce walczyć o sprawiedliwość, to tylko z pomocą tego człowieka. Mimo młodego wieku zdawała sobie sprawę z układów społecznych. Kobiety, zwłaszcza te z niższych warstw społecznych, miały małe możliwości szukania sprawiedliwości w męskim świecie, a co dopiero szanse w walce z Kościołem. Nawet powołanie się na szlachectwo ojca niewiele by zmieniło. Chcąc wnieść pozew przeciwko wysokiemu rangą dostojnikowi kościelnemu, musiała się zdać na pomoc starego medyka.

Pan Kędzierski przywitał ją szczerym uśmiechem, jednak po chwili spytał, czy jej wizyta dotyczy stanu zdrowia matki. Uspokoila go i rzekła, że chodzi o coś innego. Widząc zmieszanie i niepewność na twarzy dziewczyny, kazał jej usiąść, po czym polecił służącej podać wina. Dorota odmówiła – miała złe wspomnienia związane z tym trunkiem. Medyk namówił ją jednak, aby na uspokojenie wypić kubek wina z wodą. Chciało jej się pić po siedmiokilometrowym spacerze, więc wychyliła kubek na jeden raz i po chwili istotnie poczuła się lepiej. Poczęła mówić powoli, z jaką sprawą przyszła, lecz nie w smak jej było, że w izbie znajdują się inne osoby. Medyk odprawił więc służbę. Gdy zostali sami, dziewczyna

przeszła do rzeczy. Im dłużej mówiła, tym częściej stary lekarz drapał się po głowie i targał siwą brodę.

Kiedy skończyła, zasepił się, przez co w izbie zapanowała cisza przerywana jedynie odgłosami czeladzi krzątającej się po obejściu.

– Wielce mi cię żal, córuchno... – rozległ się po chwili niski głos medyka. – Wiem ja już, z czym przybywasz. Przeprowadzę odpowiednie badanie.

– Nie, waćpanie. Ja w innej sprawie – zaprzeczyła Dorota, choć przeszło jej przez myśl, że badanie też jest ważną rzeczą jako dowód w sprawie. – Chcę, aby stała się sprawiedliwość. Biskup stanąć przed sądem musi i tam za swój niegodny czyn odpowiedzieć.

W izbie ponownie zapanowała cisza przerywana tym razem sapaniem starego szlachcica. Nie chciał wierzyć własnym uszom.

– Bój się Boga, dziewucho! Toż to szaleństwo! Musisz mieć instygatora¹, prawo zakazuje, aby to niewiasta wносиła oskarżenie, chyba że w jej imieniu stawał będzie mąż...

– Przeto błagam na kolanach, aby waćpan stanął za mnie w tej sprawie jako instygator! – przerwała dziewczyna z ogniem w oczach. – Bóg mi świadkiem, żem gotowa samej iść i walczyć o sprawiedliwość, ale wiem ja, że to daremny wysiłek. Jeno z waćpanem się uda. Waśc człek szanowany, któremu sam jaśnie oświecony król dałby posłuch. Zlitujcie się nad krzywdą moją i pomnijcie, że tu nie o mnie jeno chodzi, a o pohańbiony episkopat...

Zbity z tropu pan Kędziński, widząc łzy napływające dziewczynie do oczu, do reszty stracił rezon. Zaczął sapać jeszcze głośniej. Kroczył jakiś czas po izbie, aż echo obcasów stukających o drewnianą podłogę odbijało się od ścian. Marszczył wysokie czoło i targał nerwowo brodę.

– Ot! Zabiłaś mi ćwieka, dziewucho... Niech mnie kule biją, jeśli wiem, co dalej począć!

Dziewczyna padła do nóg starego szlachcica, objęła jego kolana i rozplakała się. Na to zmiękł całkiem pan Kędziński, gdyż miał dobre serce, które na widok kobiecych łez całkiem w nim topniało. Podniósł dziewczynę z kolan i przytulił do piersi.

– Azali zgadza się waćpan? – spytała po chwili z nadzieją, odsunawszy się.

Medyk podrapał się po głowie, odchrząknął i rzekł:

– Jeszczem nic nie postanowił, choć przemyślę sprawę. Tutaj trzeba tęgiej głowy. Muszę podumać w spokoju. Przyjdź nazajutrz.

Na te słowa Dorota rzuciła się staremu na szyję i ucałowała go w policzek, zanim zdążyła pomyśleć, że tak nie wypada. Ten jednak traktował ją niemal jak córkę i nie tylko nie chował urazy, ale też był w duchu kontent.

Gdy Dorota wyszła z izby, stary medyk pogrążył się w myślach nad tym, co właściwie mógłby uczynić. Sam miał za małą wiedzę w przepisach prawnych, ale przyjaciel jego, starosta oświęcimski Marcin Zieliński, urzędnik biegły w prawie, sprawował czasami funkcję oskarżyciela lub obrońcy w sądach grodzkich i miejskich obwodu małopolskiego. Znał go

¹ Instygator (starop.) – oskarżyciel.

jako człowieka zasadniczego, ale o dobrym sercu i do pomocy innym zawsze chętnego. Doszedł do wniosku, że to właśnie on musiałby zostać oskarżycielem, gdyż żaden inny prawnik nie podejmie się tej roli. Zdawał sobie sprawę, że udowodnienie winy biskupowi na podstawie zeznań dziewczyny stanowi niezwykle trudne zadanie. Starosta to poczciwy człowiek, a do tego winny przysługę Kędzierskiemu, a jednak szlachcic wątpił, aby ten się zgodził się na zastępstwo procesowe po tym, jak usłyszy sedno sprawy. Mimo wszystko postanowił z nim porozmawiać.

Kasztelana Kędzierskiego znano z uporu i tego, że gdy do czegoś się zabrał, zawsze sprawę kończył. Miał honor i jeśli dał dziewczynie nadzieję, to teraz musiał doprowadzić sprawę do końca, nawet jeśli wyglądała na beznadziejną. Poza tym miał pewną awersję do przedstawicieli kleru. Napatrzył się w ciągu swojego życia na wszelkiej maści niecne praktyki, które z religią chrześcijańską i przykazaniami Bożymi nie miały nic wspólnego.

To ostatecznie zaważyło na jego decyzji: jutro zbada dziewczynę, aby zyskać dowód w sprawie, a pojutrze wyruszy do Oświęcimia.

*

Starosta Zieliński był człowiekiem pragmatycznym i ułożonym, z którym próżno rozmawiać o czymś, do czego nie ma przekonania. Medyk wiedział o tym, lecz wiedział też, że ten lubi sobie podpisać, a wtedy dyskusja mogła mieć już zgoła inny finał. Nie omieszkał też przygotować gruntu pod rozmowę, wręczając urzędnikowi na powitanie kwartę przedniego miodu, który to trunek starosta lubił najbardziej. Medyk nie od razu przeszedł do rzeczy. Czekał cierpliwie, aż gospodarz nabierze odpowiedniego humoru. Nie minęło jednak dużo czasu – Zieliński opróżniał kolejne kielichy z urzędniczą regularnością, nie bacząc na to, że jego gość nie dotrzymuje mu kroku. Kędzierski jedynie usta zmoczył kilkakrotnie, chcąc mieć umysł jasny, gdy przyjdzie sedno rozmowy.

Rozprawiali zatem o wszelakich zdarzeniach z życia publicznego Rzeczypospolitej Obojga Narodów, nie zabrakło wspominek niedawnej wielkiej wiktorii Sobieskiego pod Wiedniem sprzed siedmiu lat. Potem wychwalaniu króla nie było końca. Gdy zaś już medyk widział, że starosta jest w odpowiednio dobrym humorze, chrząknął, jak to miał w zwyczaju, gdy szło o ważną sprawę, i zagadnął w te słowa:

– Mospanie! Przychodzę ja w tve zacne progi ze sprawą wielkiej wagi. Nie na dyskurs i napitek żem tu przybył, jeno prosić waszmości w sprawie delikatnej materiji.

– A jużci! Jam to wyczuł, żeś ty, druhu, coś chciał i nie po próżnicy mnie odwiedził. Serce ja mam do waści, tedy ucha ciekawie nadstawiam.

Kędzierski opowiedział o tym, co przytrafiło się Dorocie. Wspomniał również, jak ważną jest dla niego ta dziewczyna. Gdy jednak zdradził, kto dopuścił się tego niegodnego czynu, starosta złapał się za głowę.

– Rzekłem waści, o co idzie. Dziewka proces w sądzie chce wytoczyć przeciw biskupowi, a jam obietnicę złożył, żeby jej dopomóc. Przeto pytam: pójdiesz waszmość za instygatora w tejże sprawie?

Zieliński wytrzeszczył oczy na swego gościa. W głowie dobrze mu już szumiało, mimo to sam koncept oskarżenia biskupa krakowskiego o gwałt na młodej dziewczynie wydawał mu się absurdalny. I zapewne odmówiłby medykowi, gdyby nie pewien szczegół z ich wspólnej przeszłości.

Za młodu brał udział w pojedynku na szable o pewną śliczną niewiastę. Jego przeciwnik okazał się jednak lepszym szermierzem i przyszył starosta omal nie przyplącił tej walki życiem. Uratował go wtedy Kędzierski, będąc jeszcze początkującym medykiem. Zszył po mistrzowsku paskudną ranę na piersi. Niedoszły szermierz obiecał wtedy Kędzierskiemu, że kiedyś mu się odwdzięczy. W owych czasach słowo przedstawiało wartość większą niż niejeden majątek, dlatego teraz starosta drapał się po łysiejącej głowie, bo miał nie lada zagwozdkę.

– Odprawiłbym waści z kwitkiem, słysząc rzecz, której moja imaginacja pojąć nie potrafi, jeno dałem słowo po tem, jakeś mnie naonczas odratował. A słowo szlacheckie nie dym... Z czupryny mi się kurzy, ale to teraz waści powiem, że się zgadzam. Raz kozie śmierć! A gdy już w tej materiji prawimy, wtedy powiem ci, mospanie, że tego naszego biskupa zdzierzyć nie mogę. Tak on nam tu za skórę zalał swoimi machinacjami... Na swój interes jeno ma baczenie, na żadne świętości nie zważa. Już my w naszym gronie krzyżyk na nim postawili, jeno jemu episkopat i prymas ubezpieczenie dają, a teraz nadarza się sposobność, aby go ze szczeniem pogrzyżyć i hierarchii zbawić. I to jeszcze waści powiem, że gdy dowody świadczyć będą niepodważenie, tedy i sam prymas wyda zgodę, aby Walaska rugować z biskupstwa.

Kędzierski w duchu ręce zacierał, widząc, jaki obrót przybrały sprawy.

Rozprawiali tak jeszcze dobrą godzinę. Starosta narzekał na sprawki biskupa, a służący dolewał wina, które zastąpiło miód. Wreszcie kasztelan zobaczył, że Zieliński ledwie na krześle siedzi, a mowa w bełkot przechodzi, i oznajmił, że idzie na spoczynek.

Będąc już w łóżku, zastanawiał się chwilę, czy nazajutrz urzędnik, uświadomiwszy sobie, na co się porwał, postanowi się wycofać. Szlachecka obietnica miała wielką moc, ale i sprawa była niecodzienna. Trzeba dużej odwagi, aby wystąpić przeciw duchownemu zarządzającemu wszystkimi parafiami w Małopolsce i dużej części Śląska. Starosta zdradził swoją niechęć do biskupa, co bardzo cieszyło starego medyka i dawało dużą nadzieję, że do procesu rzeczywiście dojdzie. Naturalnie Kędzierski jako biegły lekarz robiący obdukcję stanie wtedy w roli delatora – oskarżyciela posiłkowego.

Wiele jeszcze myśli tłoczyło się w głowie starego medyka tego wieczoru. Wkrótce jednak zmęczenie podróżą i wypity alkohol zrobiły swoje i starzec zasnął kamiennym snem.

Podczas gdy Kędziński bawił w Oświęcimiu, Dorota próbowała wrócić do codziennego życia, walcząc jednocześnie z myślami. W jej głowie ścierały się dwa uczucia: ekscytacja związana z planowanym postawieniem biskupa przed sądem i trauma, jaką przeżywała po tym, co jej zrobił. Dla osoby w jej wieku to wyjątkowo silne przeżycie, z którym trudno się pogodzić. Sytuacji nie polepszał fakt, że nie mogła z nikim – przynajmniej na razie – o tym porozmawiać. Matki nie chciała martwić, bojąc się, że kobieta może nie przeżyć takiej wiadomości, a Jankowi nie potrafiła zwierzyć się z sekretu, gdyż zwyczajnie się wstydziła. Pozostało jej wyczekiwać powrotu pana Kędzińskiego i wiadomości o tym, co zdziałał. Chcąc zagłuszyć myśli i uczucia, z tym większą pasją zabrała się do obowiązków w gospodarstwie. Pracowała gorliwie, aż matka i Janek dziwili się, skąd u niej tyle zapału. Ona tymczasem, mając silny charakter, nie pokazała niczego po sobie.

W piątek, dzień przed planowanym powrotem medyka, Dorota wyruszyła jak co tydzień do sąsiednich Brzezin. Nieopodal wsi mieścił się dworek szlachecki Wiśniowskich, gdzie wozila sery, jajka i mleko. Pani Wiśniowska przyjaźniła się swego czasu z ojcem Doroty, a że miała dobre serce, kupowała od dziewczyny nabiał, chcąc w ten sposób pomóc jej i chorej matce.

Dorota jechała przez las wozem zaprzęgniętym w ich ostatniego konia – pozostałe dwa zostały sprzedane na targu w Częstochowie pół roku temu, co dziewczyna długo przeżywała – aż nagle ujrzała zakapturzoną postać stojącą przy drodze. Idąc brzegiem drogi, osobnik podpierał się kosturem. Gdy wóz zrównał się z mnichem, zaciekawiona Dorota ściągnęła cugle. Koń chrapnął, a wóz się zatrzymał.

– Dokąd to zmierzacie, wędrowcze? – zagadnęła, gdy ten nie zwrócił na nią uwagi.

Na dźwięk jej słów przystanął.

– Podążam tam, gdzie potrzebny. Waćpanna jesteś w potrzebie? – odparł, nie podnosząc głowy.

– Nie. Ale mogę wziąć na wóz. Jużci, zmierzamy w jednym kierunku. – Uśmiechnęła się szeroko i zrobiła miejsce na wozie.

Nie miała pewności, czy słusznie czyni, że bierze w drogę nieznanego, ale liczył się dobry uczynek. Mężczyzna wyglądał na mnicha, jednak nie dostrzegła na jego szyi krzyżyka. Może wisiołek był na tyle drogocenny, że go ukrył w obawie przed kradzieżą. Złękła się zrazu, czy aby rzeczywiście z osobą duchowną ma do czynienia, a nie właśnie z rabusiem w przebraniu. Lęk o dziwo minął, gdy wędrowiec zaskakująco zwinnie usiadł obok niej. Roztaczał jakąś tajemniczą aurę zaufania i poczucia bezpieczeństwa.

– Zdradźcie swe imię, wędrowcze, jeśli to nie tajemnica – odezwała się, gdy ujechali kawałek w milczeniu.

– Mam wiele imion. Na tych ziemiach zwą mnie Anzelm.

Odpowiedź zdała jej się nader enigmatyczna, lecz nie spytała, co to za inne imiona.

– Mnie zwą Dorota. A więc przybywacie z daleka?

– I tak, i nie – odpowiedział nieznanomy po chwili namysłu.

– Tajemniczyś, wędrowcze. Azali jesteście z jakowego zakonu?

– Można tak rzec.

– Cóż... Jako na brata zakonnego przystaje, nie grzeszycie rozwiązłością języka.

– Powiadam tyle, ile trzeba.

– A cóż to sprowadza mnicha w nasze strony? Azaliż pielgrzymka do klasztoru jasnogórskiego, ofiara Najświętszej Paniencie?

Dorocie zdawało się, że tajemniczy Anzelm drgnął.

– A i tam bywałem... – odrzekł ponuro.

Im bardziej enigmatycznych odpowiedzi udzielał nieznajomy, tym bardziej ciekawiło dziewczynę, kim jest i skąd przybył. Nie pytała jednak o zbyt wiele, nie chcąc się narzucać.

– Czyż mocno miłujesz Boga, Doroto? – spytał nagle nieznajomy, spoglądając w niebo, jednak twarz nadal miał schowaną pod kapturem.

– Ponad swój żywot – odparła bez wahania.

– Nie maszli niekiedy zwątpienia?

– Nie mam. Bóg jest miłosierdziem i miłością winno się Go darzyć.

– Zaiste...

Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że w słowach mnicha ukryta jest ironia.

– A czy ty, wędrowcze, darzysz Boga uczuciem, na jakie zasługuje? – odezwała się.

Po raz kolejny zapadło na krótko milczenie.

– Darzę Go zaiste takim uczuciem, na jakie zasługuje...

Po tych słowach dziewczynę przeszedł dreszcz. Mogłaby przysiąc, że z ust tego człowieka popłynęło szyderstwo.

– Pójdę dalej swoją drogą – ozwał się mnich.

Dziewczyna miała wrażenie, że czytał jej w myślach. Nie okazała strachu, ale doznała ulgi, że ten osobnik zsiądzie z wozu. Pierwszy raz w życiu czuła dziwną mieszankę sympatii i strachu.

– Bywaj, Doroto! – Mnich uniósł rękę w geście pozdrowienia, gdy zszedł z wozu na rozstaju dróg.

Żegnając się, spojrział na nią. Wtedy ujrzała zarys jego twarzy – wbrew pozorom lico miał bardzo urodziwe. Wyglądał na młodszego, niż się spodziewała. Pojedyncze kosmyki prostych jasnych włosów okalały mu wydatne kości policzkowe nadające obliczu szlachetny wygląd. Wąskie, kształtne usta zdradzały silną, nieugiętą wolę, prawie butność. Pomyślała, że niewiele jest w tej twarzy z mnisiej ascezy. Najbardziej intrygujące miał chabrowego koloru oczy, których źrenice zdawały się żarzyć czerwonym blaskiem. Dziewczyna, która do tej pory bała się jedynie gniewu Bożego, poczuła lęk przed tym człowiekiem. Mimo to zaintrygował ją.

– Bądź zdrowa! Do następnego razu – dodał, po czym, nie czekając na odpowiedź, odwrócił się na pięcie i ruszył w swoją stronę.

– Bywaj... – odpowiedziała ledwie słyszalnym głosem.

Gdzieś w oddali przetoczył się grzmot. Spojrzała w niebo, wypatrując burzy, lecz nie dostrzegła chmur. Na powrót popatrzyła w stronę, w którą ruszył tajemniczy Anzelm, ale ujrzała jedynie pustą drogę.

Mnich zniknął.

Ściągnęła lejce i pognąła konia zdumionego nagłym popędzeniem. Nie zwolniła, dopóki nie dotarła na miejsce. Dopiero za bramą posiadłości rodziny Wiśniowskich pozbyła się myśli o tajemniczym nieznajomym.

*

Nazajutrz po powrocie Kędziński udał się do domu Doroty. Zanim jednak porozmawiał z dziewczyną, zbadał jej matkę, której stan ostatnio niespodziewanie się polepszył. Kobieta mogła nawet wstawać z łóżka, co starego medyka ucieszyło, ale też zdziwiło. Mimo próśb nie chciał zostać na obiad. Zostawiwszy chorej leki, oznajmił, że musi już jechać. Wiedział od Doroty, że matka nie ma pojęcia o tym, co przydarzyło się córce, dlatego rozmowę z dziewczyną musiał przeprowadzić na osobności.

Opuściwszy chatę, udał się do stajni, w której zostawił konia. Tam dogoniła go Dorota. Usłyszawszy od lekarza dobre nowiny, nie posiadała się z radości. Pan Kędziński opowiedział jej ze szczegółami, jak przebiegła rozmowa ze starostą.

– Najważniejszym jest, że Zieliński srodze krzyw na biskupa – ciągnął medyk z zadowoleniem. – Ponoć siła szkody wyrządził on ludziom. I to są dobre wieści, które za naszą sprawą przemawiają. Ale biskup to człek znaczny. Ma ci on wielkie znajomości nie tylko w Kościele, ale i w innych kręgach. Widzi jednak Pan Bóg niegodziwość jego, dlatego opatrność Boża nam sprzyjać będzie.

– Dalibóg, nie może być inaczej – potwierdziła rozpromieniona Dorota.

– Starosta szykuje pozew. We dwa tygodnie stanie biskup przed obliczem Temidy.

– Nie wiem, jak dobrodziejowi dziękować. Niech Bóg ma waćpana w opiece.

– Jeszcze nie dziękuj, córo droga. To jeno początek drogi.

Po tych słowach siadł na koń i pożegnawszy się w krótkich słowach, ruszył w drogę powrotną.

*

Kolejne dni upływały Dorocie na codziennych czynnościach. Nic jednak nie było już takie jak kiedyś. Czowała, że coś się w niej zmieniło. Z pozoru zachowywała się tak samo, lecz w jej umyśle działo się mnóstwo rzeczy. Bardzo chciała zwierzyć się matce, ale nie mogła tego zrobić, więc na razie trzymała wszystko w tajemnicy, tocząc wewnętrzną walkę.

Pewnego ranka, po wyprowadzeniu krów na pastwisko, usiadła na kamieniu nad rzeką i pograżyła się w zadumie. Dotarło do niej, że straciła niewinność w najgorszych możliwych okolicznościach i nic tego nie zmieni. Gdyby zapragnęła mieć męża, zapewne nikt by jej już

nie chciał. Czują, jakby dostała pięścią w brzuch. Schowała twarz w dłoniach i zapłakała, a krowy muczały smętnie do wtóru jej szlochu. Nurt rzeczki szemrał kojąco, lecz ona wiedziała, że już nigdy nie zazna spokoju. Dopiero gdy zejdzie z tego świata i pójdzie do Królestwa Niebieskiego, dozna ulgi. Ale najpierw poszuka sprawiedliwości.

Spojrzała w lazurowe niebo, po którym leniwie płynęły białe obłoki. Kolejny raz zastanowiło ją, dlaczego Bóg do tego dopuścił. Czyż nie jest dostatecznie bogobojna? Czy popełniła jakiś grzech? Nic nie przychodziło jej do głowy, ale nawet jeśli dopuściła się czegoś złego, cóż to musiałyby być za uczynek, który wymagał tak srogiej kary? Wypełniły ją żal i poczucie niesprawiedliwości.

Gdy tak patrzyła w niebo oczyma pełnymi łez, nagle po drugiej stronie rzeki dostrzegła kątem oka jakiś cień. Spojrzała w tamtym kierunku i zamarła. Pod lasem stała postać w habitcie. Przyszedł jej na myśl mnich, którego spotkała kilka dni temu. Zdawał się spoglądać w jej stronę. Mimo słonecznego dnia nie widziała twarzy nieznajomego. Przez chwilę zdawało się jej, że spod kapuzy wpatrują się w nią dwa wilcze, czerwone ślepia. Wtedy mężczyzna odkrył głowę. Czupryna bujnych blond włosów odznaczała się na tle kniei. Spoglądała na nią ta sama urodziwa twarz, którą zapamiętała z ostatniego spotkania. Pozdrowił ją gestem. Zanim zdała sobie z tego sprawę, jej dłoń uniosła się i odpowiedziała tym samym. Wtedy mnich naciągnął kaptur, odwrócił się i zniknął między drzewami.

Siedziała jeszcze przez chwilę, wpatrując się w dal. Nie wiedziała, co ma myśleć. Wtedy po lewej, na wschodzie, dostrzegła błysk, a chwilę później zagrzmiało. Nadciągała burza. Zerwała się i zagoniła krowy do gospodarstwa, po czym zamknęła je w oborze. Wkrótce rozpętała się nawałnica podobna do tej, która przeszła w Uroczystość Najświętszego Ciała i Krwi Pańskiej, gdy biskup zaprosił Dorotę do siebie.

Tego wieczoru długo nie mogła zasnąć. Nie potrafiła się uspokoić. Nie pomogły ani modlitwa, ani zioła, które sobie zaparzyła. Gdy wreszcie zapadła w niespokojny sen, ujrzała w nim Anzelma.

Stał na zielonym wzgórzu obok krzyża, na którym wisiał Jezus. Mnich wyglądał, jakby się modlił, lecz w pewnym momencie zdjął kaptur i spojrzał na ciało Chrystusa. Wtedy zaczął się śmiać, jego piękną twarz wykrzywił straszny grymas. Niebo zasnuły fioletowe chmury, a Anzelm zrzucił habit i przeistoczył się w potwora – zamiast nóg miał szpony niczym sęp, skrzydła nietoperza i rogaty łeb kozła. Wzbił się w powietrze, porwał ciało Jezusa i uniosł je w przestworza. Wtedy na tle chmur ukazała się wykrzywiona w szyderym uśmiechu pucułowata twarz biskupa. Dorota usłyszała śmiech, ale nie wiedziała, czy należał do księdza, czy do potwora, w którego zmienił się zakonnik.

Zerwała się z krzykiem mokra od potu. Złękła się, czy przypadkiem nie obudziła matki. Zapaliła świecę i poszła sprawdzić, czy rodzicielka śpi. Uchyliła ostrożnie drzwi i nasłuchiwała chwilę. Odetchnęła z ulgą – chora cicho chrapała. Gdy dziewczyna wróciła do swojego pokoju, nagle coś za oknem przykuło jej uwagę: w blasku księżycy na łące za płotem

dostrzegła postać – wyraźny zarys habitu. Ciarki przeszły jej po całym ciele. Zaciśnęła powieki. Gdy znowu je otworzyła, łąka była pusta.

To jeno zwidy, głupia dziewko! – zganiła samą siebie w duchu.

Wróciła do łóżka, jednak podskórny strach nie opuszczał jej jeszcze przez jakiś czas. Sen przyszedł ponownie, dopiero gdy rozległo się pierwsze pianie kogutów, a niebo poczęło szarzeć